

1 wypisów NIE mobilizacji



rekord
2 2 AK
w. W-wa - Powiat
d. „Obwoje”

res:

wa

SZYDZIK Wamde
Maria

AK
W-wa
VII Ob.

2 d. Niska

3084/WSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — S2YD21K Woude Marie
zd Niske

3084/WSK

I. Materiały dokumentacyjne

- I/1 – relacja właściwa ✓
- I/2 – dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora ✓
- I/3 – inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora ✓

II. Materiały uzupełniające relację

III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”):

- III/1 – dot. rodziny relatora
- III/2 – dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r.
- III/3 – dot. ogólnie okresu okupacji (1939 –1945)
- III/4 – dot. ogólnie okresu po 1945 r.
- III/5 – inne...

IV. Korespondencja ✓

.....
.....
.....
.....

V. Wypisy ze źródeł [tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”] ✓

VI. Fotografie ✓

I/11 Relacja właściwa

- Wspomnienia Marii-Wandy Szydzik (z domu Niokiej) -
Członka AK, wydruk, k. 20 s. 1-20



19
ŚWIATOWY ZWIĄZEK ŻCINIARZY ARMII KRAJOWEJ - Okręg Warszawski
Swołowski "Obwód"
Samotni walczyli w Obojrze - Włochy
Wspomnienia
Ze zbiorów archiwalnych
m.c. VII Obwodu A.K. „Obwód”
IIIIII
- Genet.

MARII-WANDY SZYDZIK (Z DOMU NISKIEJ) - CZŁONKA AK

Po wkroczeniu Armii Sowieckiej do Warszawy 17.01.1945 - aresztowania i Ural

Na skutek zniszczenia Stolicy - Dowództwo Armii Sowieckiej wybiera Włochy na swą siedzibę, a dom inż. Wolskiego przy ul. Cienistej - na komórkę śledczą NKWD. Mimo, że nikt na tym terenie nie działał przeciw Armii Czerwonej, wielu Akowców nie nocowało w domu. Radzono to również mnie, ale nie widziałam potrzeby.

Niestety! Od razu pierwszego dnia po wkroczeniu Sowieców - dnia 17.01.1945 roku, w nocy, zajęły 3 „Jipy” pełne NKWD-owców. Wszyscy byliśmy już w łóżkach, gdy złowrogie kroki zadudniły po schodach. Stukanie - i co najmniej sześciu umundurowanych NKWD wpadło do mieszkania. Przeszukano całe mieszkanie - nawet w łóżkach śpiących członków rodziny. Zapytano o mnie!

Pułkownik NKWD w mundurze, jak się później okazało - Żyd podwarszawski, Józef Światło - podszedł do mego łóżka i bijąc po twarzy kazał się ubrać. Razy padały dalej. Słyszałam zapłakany głos Mamusi: - *Dlaczego pan bije moją córkę? Co ona złego zrobiła?? Milczeć!* - odkrzyknął złowrogo - *bo i tobie też się dostanie.* - *Ubierz się ciepło Marysiu* - powiedziała Matka, a na to Światło rzekł: - *To już niekonieczne, bo i tak za chwilę życie nie będzie.* Włożyłam futro fokowe, ale nie było pod ręką ciepłych botków, czapki i rękawiczek, więc tylko w pantofelkach wyprowadzono mnie. Płacz Matki towarzyszył mi przez cały czas pobytu na Uralu!

Wsiadliśmy do „Jipów” i ruszyliśmy w kierunku wałów kolejowych linii Błonie-Sochaczew. Kazano mi wyjść i znów pytania oraz razy - gdzie popadło. Wreszcie wściekły głos Światła: - *Nie chcesz powiedzieć, a więc sama sobie wyrok wymierzysz.* Kazano mi stanąć pod nasypem i wówczas powiedziałam: - *Chyba pan sobie zdaje sprawę, że gdybym znała to, o co pan pyta, w tym momencie - ratowałabym swoje życie, ale tego nie wiem.*

Wpłynęło dnia 22.03.
Ldż. 910 NPK 2002

Musiało to brzmieć bardzo przekonywująco, bo mnie i trzem żołnierzom z karabinami kazano wsiąść do auta i przywieziono mnie do domu inż. Wolskiego, gdzie mieściła się komórka NKWD. Wprowadzono mnie w dół do piwnicy. Ciemność kompletna! Otworzyli drzwi - odruchowo cofnęłam się, myśląc: „Teraz zaczną się tortury!”

Zostałam popchnięta w głąb i drzwi zamknięto na klucz. Nic nie widziałam, ale miły głos dotarł do mnie: - *Niech się pani nie boi, nas już tu jest trzy*. Była to piwnica częściowo zajęta węglem, a na wolnym kawałku ziemi siedziały aresztowane trzy łączniczki AK. Naturalnie żadna z nas nie zmrużyła oka do rana. Przyniesiono po kawałku chleba i wrzątek. Dyżurny NKWD, widocznie bardziej ludzki, przyniósł wyjęte z innego pomieszczenia drzwi, które od tego momentu służyły nam do siedzenia. Już następnego dnia było nas sześć, wszystkie za przynależność do AK.

Wzywano kolejno na przesłuchanie; spisano moje dane personalne zabrano mi złoty łańcuszek ze złotym medalikiem od chrztu, złoty zegarek i dwa pierścionki oraz broszeczkę. Spisano to i kazano mi podpisać, ale naturalnie już nigdy nie wróciło to do mnie.

Po tych formalnościach wprowadzono mnie do dużego, ciemnego pokoju. Przy biurku siedział pułkownik NKWD. Usiadłam naprzeciwko i wówczas zapalono bardzo silną lampę, skierowaną na twarz. Zaczęły padać pytania i już spisywano odpowiedzi. Po kilku minutach wszedł do pokoju Światło. Stał obok przesłuchującego mnie NKWD-owca i po mojej odpowiedzi krzyknął: - *wriosz!* i zamierzył się, żeby mnie uderzyć w twarz. Ten jednak zatrzymał jego rękę, mówiąc: - *Ostaw, ja sam budu z nią gawaryć* - jak mi później mówiono, ten co mnie przesłuchiwał był Łotyszem.

Zażądano, żebym podała listę sanitariuszek, należących do AK oraz nazwiska i adresy oficerów zwerbowanych przeze mnie do AK. Już nie powrócił do pytania o adres dowódcy; uwierzyli, że go nie znam. Powiedziałam, że nikogo nie werbowałam do AK, bo moją pracą była służba sanitarna, na czele której byłam od dawna. Była to drużyna sanitarna „obrony przeciwlotniczej”. Nie widziałam potrzeby wciągania do pracy w AK młodych dziewcząt, bo i tak w razie akcji podlegały mnie.

Zdawało mi się, że tym oświadczeniem chronię 50 dziewcząt; wszystkie należały do AK, ale jednocześnie były na liście drużyny O.P.L.Gaz. Jak się dowiedziałam po powrocie, bezpieczeństwo ich było zagrożone!

Otóż pewnego dnia przyszedł do moich Rodziców Światło (sądząc z opisu i znajomości języka polskiego) i powiedział, że chciałby pomóc córce, ale do tego potrzebne jest oświadczenie podpisane przez moje sanitariuszki, że byłam DOBRĄ POLKĄ. Powiedział też, żeby Matka zebrała w mieszkaniu dziewczęta, podając dzień i godzinę.

Mamusia uszczęśliwiona pobiegła z „dobrą nowiną” do Ośrodka Zdrowia, w którym była siedziba Komitetu O.P.L.Gaz. i powtórzyła to lekarzom: dr Marii Dąbrowskiej i dr Kaliszкови. Ci spojrzeli na siebie, poprosili, żeby usiadła (chora na serce) i wówczas wprost Jej powiedzieli, że to jest zwykły podstęp, który i tak mi nie pomoże, a im grozi aresztowaniem. Poradzili stroskanej Matce, żeby go skierowała do Ośrodka Zdrowia, gdzie córkę dobrze znają i jako Ośrodek wydadzą opinię na piśmie o Jej córce.

W wyznaczony dzień Światło przyszedł z arystą i gdy zobaczył, że dziewcząt nie ma - był wściekły. Naturalnie nikt nigdy nie zgłosił się do Ośrodka w mojej sprawie.

Pewnego dnia ktoś przyszedł do Rodziców i powiedział, że widział mnie w domu Wolskiego, w oknie na I piętrze, myjącą okna. Mamusia wzięła więc ciepłe obuwie, rękawiczki, futrzaną czapkę, sweter i koc - i poszła z tym do domu Wolskiego, prosząc o doreczenie paczki córce. Odpowiedziano, że takiej tu nie było i nie ma, no i paczki nie przyjęto. A jakże przydałaby się na Uralu i w transporcie!

Przesłuchania odbywały się prawie codziennie, ale nie zawsze przez tych samych NKWD-owców. Po kilku dniach, kiedy zdawało mi się, że uwierzyli - bo stale powtarzałam to samo - wezwano mnie i śledczy NKWD zmienionym tonem powiedział: - *Myśleliśmy, że mówisz prawdę, a okazuje się, że jednak werbowowałaś oficerów AK; mamy zeznanie doktora S. na ten temat.* Odpowiedziałam, że nie wiem, co doktor S. mógł na mój temat powiedzieć innego niż ja sama. Zrobiono więc konfrontację doktora ze mną; wprowadzono mnie do pokoju, posadzili na vis a vis śledczego, za chwilę przyprowadzono maltretowanego doktora.

Muszę tu nadmienić, że doktor S. z żoną i dwojgiem dzieci mieszkał od lat w domu Wolskiego. Dla Niego było to strasznym przeżyciem być więźniem w domu, gdzie dotąd mieszkał szczęśliwie z rodziną.

Zadano mi znowu w jego obecności pytanie, czy i kogo z oficerów zwerbowałam do AK. Odpowiedź moja była taka sama: „nikogo”. Wówczas spytali doktora; on potwierdził swe poprzednie zeznanie, że został przeze mnie wciągnięty do pracy w Podziemiu. Wówczas powiedziałam: - *Panie doktorze, rozumiem pana załamanie i stan psychiczny, zrozumiałabym, gdyby pan w tym stanie powiedział choćby za wiele, ale prawdę. Nie rozumiem natomiast dlaczego pan podaje w zeznaniu nieprawdziwe oskarżenie, bo ja nigdy nikogo, ani pana doktora do podziemnej pracy nie wciągałam. Ja nawet nie wiedziałam, że jest pan członkiem AK.*

Wówczas zwrócono się, powtórnie do niego i on zupełnie załamany powiedział: - *Tak, to jest prawda; z panią Marią nigdy nie pracowałem w AK, ona jest komendantką służby sanitarnej O.P.L.Gaz. i na tym polu tylko miałem z nią kontakt.* Tak się skończyła konfrontacja; ale mnie wywieziono na Ural, a doktor został zwolniony.

Dnie i noce mijały w strasznych warunkach w piwnicy; bez snu, bo tylko drzemka była możliwa. Opierałyśmy się po dwie plecami, na przyniesionych drzwiach i tak w paltach starałyśmy się trochę podrzemać i odpocząć.

Pewnej nocy wyprowadzono nas na ulicę, gdzie czekała odkryta ciężarówka; jechaliśmy stłoczeni przez kilka godzin. Wyładowano nas w koszarach wojskowych w Łęczycy, skąd następnego dnia przeprowadzono nas przez miasto do częściowo załadowanych już ludźmi wagonów towarowych.

Droga przez miasto była straszna; najgorsza hołota, która w pierwszych dniach Polski Ludowej objęła władzę jako milicja ludowa, zdejmowała z nas palta, szczególnie lepsze, buty oficerki, itp. Jedna z naszych dziewcząt-łączniczek miała długie, gumowe buty, ale i te kazano jej zdjąć. Widząc to, rosyjski konwojent NKWD kazał się motłochowi rozejść, a gdy nie pomogły słowa - strzelił kilkakrotnie w powietrze. Gdy pytaliśmy konwojenta - dokąd nas wywożą, odpowiedział: - *Do Lublina, gdzie prawicielstwo polskie będzie was sądzić.* Albo nie wiedział, albo skłamał - jak inni, bo celem podróży był URAL.

Wagony towarowe, żelazne, bez odrobiny słomy, czy siana. Pośrodku „pieczka” żelazna i długie koryto, opadające coraz niżej - do otworu prowadzącego na zewnątrz; to miało służyć jako nasze WC - na daleką, straszną podróż, trwającą kilka tygodni. Było nas razem 90 kobiet, w tym 6 z AK, 6 prostytutek, a reszta za różne przestępstwa, podciągnięte pod oskarżenie „współpraca z Niemcami”. Większość to proste kobiety.

Codziennie późnym wieczorem, w czasie postoju pociągu, odsuwano zamknięte, żelazne drzwi wagonu i tym, co miały jakiegokolwiek naczynie, wlewano „coś” gorącego - co miało być zupą, oraz po pajdce chleba. Naturalnie żadna z nas sześciu nie miała naczyń. Dopiero konwojenci przynieśli puszki po konserwach „naczalstwa”; i te nigdy nie myte służyły nam przez całą podróż, a także przez cały pobyt na Uralu. Rankiem, każdego dnia, otwierano wagon z zapytaniem: „skolko siewodnia podochło”. Mimo tych makabrycznych warunków wszystkie kobiety dojechały żywe, choć w opłakanym stanie, do miejscowości „Baskaja” - Mołotowskaja obłość.

Śmiertelność była duża wśród Niemców, którzy stanowili większość transportu. Trupy po prostu wyrzucano z wagonów, zapewne na pożywienie dla dzikich zwierząt. Przez cały czas zamknięte w towarowych, ciemnych wagonach, szukałyśmy szparki, ale widziałyśmy przez nią tylko niekończącą się biel śniegu, żadnych zabudowań, żadnych ludzi, żadnego znaku życia - tylko biel! To nieprawdopodobnie przygnębiający widok!

Nic też dziwnego, że od czasu do czasu trzeba było podtrzymać na duchu załamujące się kobiety, które oderwano brutalnie od mężów, dzieci i wywożono, jak kiedyś naszych dziadów i pradziadów, na Sybir. Historia się powtarza, a my jesteśmy jej ofiarami.

Na stacji Baskaja, która była celem podróży, kazano nam „wyskakiwać” z wagonu, co nie było łatwe po tak długiej podróży bez ruchu i przy głodowym wyżywieniu; właściwie ledwo trzymałyśmy się na nogach. Ustawiono nas parami w wyciosanym lodzie - jak tunelem prowadzono nas do obozu. Ci, co padli na tym krótkim stosunkowo odcinku, już się nigdy nie podnieśli.

Teren obozu otoczony był wysokim, drewnianym płotem, nadbudowa z drutu kolczastego, po rogach wieżyczki obserwacyjne. W momencie, gdy brama została otwarta, doszedł do nas pomruk: „kobiety, kobiety”.

Jak się później okazało, mężczyźni golili się kawałkami szkła, jeden drugiego strzygł, w gabinecie doktora - Polaka, dr Tundaka. Wszystko po to, by godnie nas przyjąć; według opinii doktora nasz przyjazd do obozu bardzo podniósł psychicznie załamanych Polaków.

Nasze pomieszczenia to drewniane baraki, przeznaczone na zsypanie zboża, i znowu nie ma ani słomy, ani siana - po prostu drewniane prycze. Nie było też nic do przykrycia, a to przecież styczeń na Uralu! Kładliśmy się spać w tym samym ubraniu, w którym przez cały dzień pracowałyśmy w polu, albo w obozowej pralni, kuchni, czy tak jak ja - w lazarecie (to był obozowy szpital).

Przez cały czas pobytu nie otrzymaliśmy żadnej bielizny ani odzieży; można więc sobie wyobrazić w jakim to było stanie. Raz na tydzień prowadzono nas do BANI; tam wszystko, co miałyśmy na sobie wrzucano do „prewarki” celem zabicia robactwa. Tu muszę wspomnieć, że Banię obsługiwał Rosjanin - Biskup z Moskwy, skazany na dożywotnią zsyłkę - za wiarę.

Każdy z nas otrzymał drewniane korytko z odrobiną wody i małej kawałeczek mydła. Upokarzające było to, że nas kobiety obsługiwali Rosjanie - mężczyźni, a mężczyźni - kobiety.

Urządzenia sanitarne - to dalsze upokarzanie ludzi; przez pierwszych kilka dni część z nas nie mogła się zdecydować, aby korzystać z nich. Był to barak, w poprzek dwa rowy i ułożone na nich deski. Urządzenie to było wspólne dla kobiet, których było niewiele, i setek mężczyzn; mimo otępienia, jakie powoli ogarniało nas wszystkich, bardzo trudno było to akceptować - ale nie było wyjścia z sytuacji.

Większość kobiet, w tym Polki, Rosjanki, Łotyszki, Litwinki oraz Niemki - pracowało w polu, część w kuchni i pralni obozowej, no i nas garstka w szpitalu. Te, co pracowały w polu, nie narzekały, mimo ciężkiej pracy, bo za zgodą konwojenta pełen kubek pokrojonych do sadzenia kartofli - prawie codziennie obrały, ugotowały, najadły się same i nakarmiły również głodnego konwojenta.

Wśród Polaków był uzdolniony malarz i rzeźbiarz - ksiądz z Ostrołęki, byli sędziowie, prokuratorzy i adwokaci z Radomia i z Łodzi, był lekarz - książe Sanguszko i wielu innych z naszej arystokracji, których nazwisk nie pamiętam. Wszyscy pracowali fizycznie, część przy upokarzającej i brudnej pracy przy czyszczeniu „szamba”; trzymali się dzielnie. Naszej szóstce z AK udało się otrzymać pracę w szpitalu, pięć jako salowe, a ja do pomocy lekarzowi w szpitalu i ambulatorium. Lekarzem był młody Moskwiczaniec, który był w Warszawie, na Pradze i był życzliwy Polakom.

Jedynym lekiem było „Calihpermanganicum” jako środek dezynfekcyjny, oraz był podawany na biegunkę - w słabym roztworze. Innych leków w ogóle nie było. Na silne owrzodzenia i ropiejące rany stosowaliśmy liście „babki” rosnące wokół baraków. I o dziwo! Wiele bardzo ropiejących już wrzodów udało nam się wyleczyć.

W następnych obozach, do których nas przewieziono: Jajwa, Swierdłowsk - lekarzami byli także zesłańcy, Gruzini: dr Głodajaszwili i dr Niemicytwidze - także życzliwi Polakom.

Pewnego dnia obozowy „naradczyk” polecił mi przyjść do jego kwatery wieczorem, żeby mu zrobić zastrzyk, zalecony przez lekarza. Wiedząc jaką cieszy się opinią w obozie, zlekłałam się i powiedziałam moim starszym Akaczkom - Mieci i Janinie (Mieczysława Hejnowa i Janina Młodzińska). Porozmawiały z naczelnym lekarzem, starszym wiekiem i bardzo nam życzliwym. On wydelegował z zastrzykiem jedną z nich, a mnie polecił przenieść się całkowicie na teren szpitala, gdzie „naradczyk” nie miał wstępu, bo szpital podlega wyłącznie lekarzowi. Gdy będę mieszkała w baraku poza szpitalem, w każdej chwili może mi grozić, że „naradczyk” wyśle mnie do pracy w kopalni, w polu czy przy wyrębie lasu, a lekarz nic mi nie będzie mógł pomóc. Od tego więc dnia była unieruchomiona na terenie szpitala, bo mściwy „naradczyk” tylko czekał na okazję pokazania swego niezadowolenia.

Każdego dnia rano po dwie osoby z każdego baraku asystowało przy krojeniu, ważeniu 400 gramowych porcji chleba, które trzeba było osobiście odebrać; chleb był ciężki jak glina, niewyrośnięty i niewypieczony. Mimo że każda porcja była zważona przy świadkach, każdy szukał oczami... większej porcji, bo rzeczywiście, gdy bochenek był lepiej wyrośnięty i wypieczony porcja wydawała się większa, choć waga była ta sama.

Początkowo starałyśmy się podzielić pajdkę na 4 porcje: śniadanie, obiad, kolacja, no i choć kawałek na następny dzień raniutko, gdy się było bardzo głodnym; tą porcję kładło się pod głowę, żeby nikt nie ukradł. A jednak porcje chleba znikwały, zaczęły się podejrzenia, aż wreszcie któraś zobaczyła ogromnego szczura wędrującego między naszymi głowami w poszukiwaniu chleba. Gdy sobie to uprzytomniłam wolałam być rano głodna, aniżeli poczuć, czy zobaczyć szczura obok mojej głowy. W dzień szczury chodziły po baraku, nie bojąc się nas zupełnie i do tego pomалу przyzwyczajałyśmy się.

W lipcu czy sierpniu 1945 r. zebrano wszystkich jeńców na placu, bo przyjechało „naczalstwo” z dobrą nowiną: Rosja przystąpiła do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i zgodnie z obowiązującą umową od tego momentu jeńcy otrzymywać będą... dwudaniowe obiady. W praktyce wyglądało to tak, że wodę z wierzchu nalewano do naczyń jako pierwsze danie, a potem grudki maki czy kaszy, nierozbełtane, które zostawały na dnie kotła, po jednej łyżce - jako drugie danie. Tak wyglądało wywiązanie się z międzynarodowych przepisów o żywnieniu jeńców.

Czasami zdarzało się, że w chwilach wolnych od pracy siadałyśmy na pryzkach, śpiewając pieśni religijne, ludowe czy wojskowe, albo snułyśmy marzenia, aby choć jeszcze raz w życiu... najeść się do syta chleba, już nawet tego obozowego. Nigdy marzenia nasze nie poszły dalej; nie o przysmakach, ciastkach, ale po prostu „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj” - ALE DO SYTA.

Była wśród nas Żydóweczka - Kazia Szwymer, córka piekarza. W takich momentach mówiła do nas: - *Jak szczęśliwie wrócimy, zapraszam was wszystkie na świeżą kawę z mlekiem i chrupiące kajzerki z masłem*; to był szczyt naszych marzeń. Zdawało się, że takiego szczęścia żadna z nas nie doczeka. A jednak, chociaż trudno w to uwierzyć, ale Bóg pozwolił nam wrócić do Kraju, do naszych Rodzin, i dziś możemy żyć normalnie, a nawet cieszyć się życiem!

W tamtych potwornych wprost warunkach trzeba było podtrzymywać ducha wśród łatwiej załamujących się. Trzeba było żyć nadzieją, bo jeśli ktoś ją straci - nie przetrwa obozu. Nam Polakom było łatwiej, bo przecież widzieliśmy zbliżającą się klęskę Niemców i koniec wojny. Wmawialiśmy w siebie, że przecież przyjdzie dzień, gdy świat się o nas Polaków upomni; aresztowani zostaliśmy przecież przez najeźdźcę - NA NASZEJ POLSKIEJ ZIEMI I W JEJ STOLICY - co na pewno jest przestępstwem w układach międzynarodowych.

Niestety, jednak tak jak sprawa Katynia umilkła, tak i bezprawne aresztowania w Polsce i to w Jej Stolicy przez NKWD nigdy dotychczas nie było i do dziś nie jest uznane za przestępstwo Rosji. Może przyjdzie ten dzień, ale kto z nas doczeka.

Pod koniec 1945 r. przybył do obozu transport Rosjan z terenów niemieckich, które przy podziale Niemców na strefy przypadły Rosji; wszyscy przekonani byli, że wracają do kraju, do rodzin, ale wszyscy znaleźli się w obozach na Uralu. Do naszego baraku przybyły dwie inteligentne, starsze Rosjanki i opowiadały nam swoje przeżycia.

Jedna - matka lekarza - została wywieziona do Niemiec, ale cały czas była w tym samym obozie co syn. On pracował w szpitalu jako lekarz, a jej pozwolono pracować w roli sprzątaczkii w tymże obozie. Gdy Amerykanie objęli szpital, naczelnym lekarzem został Amerykanin. Oboje - matka z synem, Rosjanie, zaczęli bywać w domach innych lekarzy i zobaczyli na jakim poziomie żyją ludzie na Zachodzie.

Dla matki nie było to nowością, bo pamiętała czasy Białej Rosji; jej mąż był także lekarzem, mieli piękne mieszkanie, ubiory, biżuterię i żyli dostatnio. Gdy opowiadała to synowi, gdy był dzieckiem i studentem - oburzał się na nią mówiąc, aby nie opowiadała nonsensów propagandowych, bo przecież gdyby tak było to po co była rewolucja? Teraz, gdy zobaczył jak żyje Zachód, powiedział do matki: - *Tak, teraz widzę żeś mówiła prawdę, i że to ja dałem się otumanić propagandzie.*

Opowiadała nam, że w momencie podziału na strefy zaczęła się ewakuacja Rosjan przebywających w szpitalu do Rosji. Kolejno więc wszyscy lekarze odprowadzali transporty chorych do granicy Rosji, pod nadzorem naczelnego lekarza, Amerykanina. Pewnego dnia naczelnny lekarz zawiadomił jej syna, że z następnym transportem on pojedzie, wówczas jej syn zwrócił się z prośbą o zabranie matki. Amerykanin zdziwił się, odradzał, ale zgodę wyraził.

Tak jak poprzednio, lekarz odprowadzający miał wrócić do Niemiec. Kiedy jednak transport dotarł do granicy, wszyscy Rosjanie, obojętne w jakim charakterze byli, zostali zamknięci w towarowych wagonach i skierowani na Ural. Rodziny zostały od razu rozdzielone, matka przyjechała do naszego obozu, o synu długo nic nie wiedziała; tuż przed wyjazdem przyszła poufna wiadomość, przez innego lekarza, że syn żyje i pracuje jako lekarz w oddalonym o setki mil obozie na Uralu.

Większość obsługi naszych obozów stanowili Rosjanie - zakluczeni; była to wolna zsyłka, a „wolność” polegała na tym, że mogli poruszać się w obrębie 50 km, ale nigdzie dalej. Opowiadał mi lekarz Gruzin, że on już pewnie nigdy nie wróci do żony i dzieci w Gruzji, że chociaż mógłby ich sprowadzić na Ural, to jednak nie chce narazić rodziny na nędzę i poniewierkę w jakiej sam żyje - wbrew swojej woli.

Pewnego dnia i na mnie przyszedł moment załamania. Siedziałam na pryczy, płacząc, myśląc o matce i rodzinie; nie zauważyłam nawet, że lekarz był w baraku, po chwili wezwano mnie do ambulatorium, gdzie w tym momencie był lekarz - Gruzin; zapytał dlaczego płakałam, czy spotkało mnie coś złego. Odpowiedziałam, że to po prostu tęsknota; wiem, że matka oczekuje wieści o mnie, a ja nie mogę napisać - listów nie wolno było pisać nikomu.

Lekarz, korzystając, że nie ma świadka, powiedział: - *Napisz po kilka słów i to na różne adresy, ażeby choć jeden dotarł; pamiętaj, że gdyby kiedykolwiek zapytano cię komu je dałaś, powiedz, że po prostu wyrzuciłaś listy za płot i ktoś widocznie je podniósł i przesłał dalej.*

I tu nowy problem, skąd wziąć papier i pióro do napisania listów; otóż szpital miał papierowe sienniki, napchane słomą. Zerwałam pierwszą warstwę, wyprostowałam jak mogłam najlepiej i pocięłam na małe arkusiki 4 x 6 inchy; zrobiłam także koperty, które związałam nitką. Dwa listy i kopertę mam tu w swoich aktach. Zdobyłam ołówek atramentowy i napisałam 4 listy maczając ołówek w wodzie: po powrocie okazało się, że wszystkie listy dotarły. To była pierwsza i jedyna wiadomość, że żyję i pracuję w lazarecie. Na wszelkie zapytania rodziny NKWD odpowiadało: - *O ile nie pisze - to znaczy, że nie żyje*, a przecież nam nie wolno było pisać.

Zbliżało się Boże Narodzenie; nasz uzdolniony ksiądz malował, rzeźbił dla „naczalstwa” i w zamian za to otrzymał trochę mąki, kaszy i tłuszczu; te „bogactwa” zbierał, żeby zrobić polską Wigilię jeńcom na Uralu i upiec Opłatek. Ale zaczęły się szerzyć pogłoski, że Polacy wracają do Kraju, kobiety Polki wszystkie - z wyjątkiem „tych sześciu”, a ponieważ było 6 Akaczek i 6 prostytutek myślałyśmy, że wrócą wszyscy z wyjątkiem nas sześciu. Gdy 24 grudnia zaczęto wywoływać nazwiska - okazało się, że my wracamy, a one zostają. W południe otrzymaliśmy zupę i chleb, po czym wyprowadzono na do wagonów towarowych, stojących na bocznym torze.

I znowu - mróz syberyjski, żelazne, towarowe wagony bez odrobiny słomy, pośrodku zimna, żelazna „pieczka” no i „koryto” - WC. Żadna z nas nie wierzyła, że wracamy do Kraju; myślałyśmy, że wywożą nas w głąb Rosji, albo na wschodnią granicę.

Wagony znów zamknięto i w zupełnych ciemnościach oraz w zupełnej ciszy czekałyśmy, co będzie dalej. Mijały godziny, aż w pewnym momencie dotarła do nas melodia, a potem i słowa - *Bóg się rodzi, moc truchleje...* To byli nasi chłopcy, gdy przechodzili wzdłuż naszego wagonu głos doktora Sanguszko wykrzyknął: - *Maria, trzymajcie się, wracacie do Kraju!*

Wiele miesięcy po naszym powrocie przyszedł drugi transport, a w nim doktor Sanguszko; wtedy dowiedziałam się jak to było. Otóż lekarz i ksiądz uprosili konwojentów, żeby poszli z nimi po drzewo do lasu, aby wspólna Wieczera Wigilijna była w cieplejszym baraku. Konwojenci, podobno trochę „pod gazem”, zgodzili się na trasę wzdłuż pociągu, w którym my, w Wieczór Wigilijny, siedziałyśmy w zimnie i ciemnościach, nie wiedząc co nas czeka. To był bardzo wzruszający „pochód kolędników”.

Przed wyjazdem dostałam od księdza krzyżyk z kości (zwierzęcej, czy ludzkiej) z wyrzeźbionym orłem w koronie i napisem: URAL 3.5.1945. Gdy po powrocie do Warszawy oddałam krzyżyk do jubilera (na rogu Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich) by dorobił złote uszko, poprosiłam o kwit. Zdziwiony jubiler powiedział, że ludzie mu zostawiają bardzo wartościowe rzeczy nie oczekując pokwitowania; jednak pokwitowanie dał. Kiedy odbierałam krzyżyk, wziął mnie za rękę i powiedział: - *Teraz rozumiem, dlaczego chciała pani pokwitowanie*, był wzruszony i za robotę nic nie policzył.

Wracając do pamiętnej Nocy Wigilijnej - to całutką noc spędziliśmy w lodowatym zimnie i ciemnościach, bo dopiero w Dzień Bożego Narodzenia napalono w pieczce i pociąg ruszył. Podróż trwała znowu trzy tygodnie, ale dopiero kiedy znaleźliśmy się na boczniczy w Moskwie, uwierzyliśmy, że wracamy do Polski.

Tutaj byliśmy świadkami wstrząsającego widoku: otóż równoległe do nas, o kilkaset metrów dalej, stały wagony towarowe, z których konwojenci wyprowadzali po 10 mężczyzn w białych, ciepłych ubraniach, czapkach i walonkach; na kolanach przeprowadzano ich do innego pociągu - także towarowego. Mężczyźni krzyczeli: - *Wywożą nas na Białe Morze - mówcie o tym Światu!* Za chwilę nasze wagony ruszyły, ale widoku tych ludzi nikt z nas nie zapomni do końca życia.

Wiedząc już na pewno, że jedziemy na Zachód, do Polski, nabrałyśmy innego ducha; śpiewałyśmy Akowskie piosenki, a nawet zaczęłyśmy żartować z różnych tragikomicznych sytuacji.

W dniu pierwszego stycznia, w dniu imienin naszej komendantki, Mieczysławy Hejnowej, ktoś zaczął życzenia wierszem i tak powstał następujący wspólny twór Wagonu:

Komendantce żeńskiego wagonu, w drodze do Kraju - współtowarzyszki rocznego pobytu na Uralu - 1.1.1946:

*Nic to Mieciuniu, że dzień Twego Święta przypadł w wagonie, kochana,
I tutaj jest ktoś, kto o tym pamięta, choć nie ma Władeczka, Stefana (mąż i syn).
Uralskie szachty, tartaki, szpitale - wszystko za Tobą, kochanie,
A Twoja męka, smutki i zale - jak sen zły w pamięci zostanie.
Już Cię nie straszy Jajwa ni Baskaja - obozy, do których zapędził nas wróg,
Inna myśl Ciebie teraz upaja: Polska i Dom, które zsyła ci Bóg.
To nic, że to wagon, a dziś Twoje Święto, ciesz się i raduj moja ukochana,
Pokaż nam buzię mile uśmiechniętą, gdyż dążysz do Władka, Stefana.
To nie jest pociąg, który nam i Tobie w następstwie dał pęta niewoli,
Którego wnętrze kryło nas jak w grobie i niosło na Ural powoli.
Ten pociąg Mieciuniu, to serce olbrzymie, co w sercach pięciuset drgań szlocha
Lecz kół wagonu poruszyć nie umie, by niosło je prędzej do tych, których kocha.*

*To nic, że leżysz na wspólnej pryczy, wśród obcych ciał i cudzych twarzy,
 Że serce Twoje szlocha i krzyczy, że Dom Ci się śni i marzy.
 To nic, że stale poniżają Ciebie, że jesteś głodna, brudna i smętna,
 Że trwanie swoje widzisz tylko w chlebie, który przemieniasz często na skręta.
 Ty wracasz Mieciuniu, czy Ty to rozumiesz? Wracasz do Kraju, do syna i Władka.
 Czy szczęście swoje dokładnie pojmujesz? TY - żona, kochanka i matka.
 Porzuć więc smutek w dzień swego imienia i przyjmij od nas Mieciuniu jedyna,
 Wszystkie gorące i dobre życzenia - zamiast Władeczka i syna.*

Gdy po kilkunastu dniach podróży pociąg zatrzymał się - okazało się, że stoimy na stacji Brześć, tuż przy granicy Polski. Wzruszenie ogarnęło nas wszystkie, a gdy pociąg znalazł się pośrodku Bugu, klękaliśmy, całując podłogę wagonu, która w tym momencie była dla nas Polską. Przez cały czas od przekroczenia granicy towarzyszył nam krzyk kobiet i dzieci: - *Polacy! To Polacy wracają z Rosji!*

Pociąg stanął na stacji Biała Podlaska; byliśmy na bocznym torze. Słysząc było otwieranie wagonów i wówczas któraś z nas zawołała: - *Otwórzcie! Tu są kobiety!* W tym momencie dosłownie otworzono nasz wagon ze słowami: - *Proszę wychodzić!* Nasza Miecia - komendantka, była zbyt słaba, żeby coś działać, na mnie więc spadła Jej funkcja.

Stojący tuż przy mnie starszy pan z opaską UNRA polecił ustawić się parami do przyjęcia transportu; spytałam się co będzie z nami. Odpowiedział, że jesteśmy wolne, ale żeby z tej wolności jak najprędzej skorzystać, musimy otrzymać dokumenty; wobec tego daje nam przewodnika, który zaprowadzi nas do fotografa, a potem mamy pójść do szkoły, w której jest przewidziany nocleg. Następnego dnia mamy otrzymać dokumenty Ministerstwa Bezpieczeństwa i możemy jechać do domu; złożył życzenia szybkiego załatwienia formalności, a my zrobiłyśmy tak jak nam poradził.

Gdy znalazłyśmy się w szkole okazało się, że tam już czekają na nas ludzie z Białej Podlaskiej, żeby zabrać nas do swoich domów na kolację i nocleg. I znowu problem, bo nasza „szóstka” postanowiła do końca być razem. Gdy wybrano tylko nas dwie, z przykrością, ale odmówiliśmy gościny, decydując się spędzić noc w szkole. Wtedy miła kobieta w średnim wieku, jak się później okazało - żona kolejarza, powiedziała: - *No to zabierajcie się wszystkie sześć, damy sobie radę.*

Mieszkanko było niewielkie, ale schludne; kotły gorącej wody, no i zapach barszczu z kuchni oraz dobrze okraszone kartofle! Niczego lepszego w życiu nie jadłam! Mimo zmęczenia i wycieńczenia żadna z nas, łącznie z gospodynią, nie zmrużyła oka. Ona chciała wiedzieć jak najwięcej, więc rozmowy trwały do rana. Mąż jej był w drodze, toteż położyłyśmy się w poprzek na ogromnych dwóch łózkach; dla nas były to luksusowe łoża! Jakże żałuję, że żadna z nas nie wzięła adresu tej gościnniej kobiety. Często myślę o tym, że mogłabym odwdziaczyć się jej za te WIELKIE SERCE!

Rano zbiórka w szkole, gdzie otrzymałyśmy dokumenty (mam je w swoich aktach), bilety do Warszawy oraz po pół paczki UNRA. Nasi opiekunowie zaprowadzili nas na stację; nadjechał pociąg - tłok był ogromny. Podeszłam do konduktora, mówiąc: - *Proszę pana, wracamy z Uralu, jest nas sześć, czy mógłby pan ulokować nas trochę wygodniej.* Natychmiast umieścił nas w służbowym przedziale i zamknął, żeby nam nikt nie przeszkadzał. Ileż dobrych ludzi jest wszędzie!

Ogarniało nas powoli zmęczenie, zaczynałyśmy już drzemać, gdy dotarła do nas melodia i słowa piosenki „Warszawo, ty moja Warszawo”. Słyszałyśmy tylko nasz szloch, szloch wzruszenia i radości, że przecież wracamy do Warszawy.

Pociąg przyjechał na Pragę, chyba na Dworzec Wileński - ale jak stąd dostać się do Warszawy, byłyśmy przecież bez grosza. Przypomniałam sobie, że na Pradze był oddział KKO, a ja przecież przez lata pracowałam w KKO na rogu Traugutta i Czackiego; było dopiero po siódmej rano i banki były jeszcze zamknięte.

Staliśmy na przystanku, skąd odchodziły ciężarówki wożące do Warszawy „na łebka”; udało nam się wejść do jednej z nich, ale tłok był niesamowity. Gdy podszedł zbierający pieniądze powiedziałam, że nie mamy ani grosza, gdyż wracamy prosto z obozu na Uralu; zrobiła się cisza, zrobiono nam więcej miejsca i znalazł się ktoś, kto za nas zapłacił należność.

Tak dojechałyśmy do centrum miasta; tu, na rogu Poznańskiej był oddział KKO, udałam się tam z dwiema starszymi towarzyszkami zsyłki, zadzwoniłam od frontu (jeszcze był zamknięty), po chwili drzwi otworzył dobrze mi znany woźny, pan Rynkiewicz, ale mnie nie poznał. Nie można się dziwić, bo miałam na sobie czarne, męskie palto, a na to niegdyś biała „fufajka” bezrękawnik.

Powiedział: - *Proszę zaczekać, otwieramy o dziewiątej.* - *Panie Rynkiewicz* - zawołałam - *pan mnie nie poznaje.* Okrzyk radości i niedowierzania: - *Mój Boże, pani żyje, proszę przejść od Alej wejściem dla personelu.* Gdy znalazłyśmy się w bramie, już czekało na nas kilku kolegów i koleżanek, jeden z kolegów mówił ze łzami w oczach: - *Mój Boże, co pani musiała przejść w tym piekle.* Zaraz też znalazła się gorąca kawa i kanapki, które z rozkoszą zjadłyśmy.

Tenże kolega - Mańkowski, powiedział, że zaprowadzi mnie na Żurawia, gdzie spotkam rodzinę, bo siostra i kuzynki pracują w lokalu mego wujka, w „Anicie”. Gdy skręciliśmy na Żurawia, z dala zobaczyłam postać młodej kobiety w żałobie; po ubiorze poznałam siostrę, a widząc ją w żałobie, zaczęłam płakać; w pierwszej chwili Anielka mnie nie poznała, a potem szybko dodała: - *Nie płacz, rodzice żyją, to mój mąż Winko tragicznie zginął pół roku temu; przez te kilka miesięcy buntowałam się przeciwko wyrokowi Boskim, ale dziś coś mnie pchało do kościoła. Właśnie wracam po spowiedzi i komunii św. no i jakaż nagroda mnie spotyka. Wróciłaś! Boże mój, wróciłaś!* Łzy płynęły nie tylko po naszych twarzach, ale i kolegi Mańkowskiego także.

Wróciliśmy do KKO, gdzie czekały na mnie Miecia i Janka; siostra zamówiła taksówkę, podwiozła obie na dworzec, kupiła bilety - Jance do Pruszkowa, a Mieci do Gołębek, a my dwie taksówką do Włoch.

Stwierdziłyśmy, że ze względu na stan serca Mamusi, musimy Jej oszczędzić gwałtownego wzruszenia, więc siostra weszła pierwsza do mieszkania i powiedziała: - *Podobno przyszedł transport z Rosji, może Marysia w nim jest*, ale Mamusia po wyglądzie Anielki domyśliła się prawdy i czekała na mnie płacząc ze szczęścia, a patrząc na mój ubiór - biedna, śmiała się przez łzy.

Przede wszystkim wszystko, co miałam na sobie, poszło na spalenie w ogrodzie; potem kąpiel, czysta bielizna i odzież, no i chaotyczne rozmowy. Wiadomość o moim powrocie szybko rozeszła się, więc były wzruszające odwiedziny rodziny i przyjaciół.

Ale najważniejsza rzecz to zawiadomienie Ojca, który jako inżynier-mostowiec, wydelegowany był do budowy mostu we Wrocławiu; komunikacja jeszcze szwankowała, więc Anielka pojechała na przystanek autobusów dalekobieżnych i po prostu poprosiła jakiegoś pasażera o zawiadomienie inż. Juliana, że córka wróciła w zdrowiu z bardzo daleka.

Był to styczeń 1946 roku, komunikacja bardzo nieregularna, ale już w dwa dni po moim przyjeździe, półprzytomny ze wzruszenia i zmęczenia, przyjechał mój Ojciec; stwierdził, że po tym co przeżyłam zabiera mnie na odpoczynek do Wrocławia. Przyrzekłam Ojcu, że za miesiąc na pewno przyjadę, musiałam pozałatwiać różne sprawy.

W Białej Podlaskiej polecono nam zarejestrować się w PCK, a więc po jakimś czasie, gdy trochę nabrałam sił, pojechałam do Warszawy to zrobić; skierowano mnie do pani Bortnowskiej (chyba żony Generała). Tutaj rozmowa: co wiem na temat Polaków w obozach rosyjskich, gdzie i ilu spotkałam. Wszystko co wiedziałam przekazałam, jako powracająca z obozu - otrzymałam zaświadczenie Nr 58082 oraz Nr 59471 z datą 20.III.1946 r. o treści: „Pani Maria została zarejestrowana w PCK jako powracająca z obozu jeńców, z przymusowych robót - z Uralu”, podpisała M. Bortnowska (zaświadczenia te mam w swoich aktach).

To były kartki na paczki żywnościowe i odzieżowe, po które się nigdy nie zgłosiłam; wróciłam do kochanej i kochającej rodziny, na pewno inni bardziej potrzebowali pomocy.

Po dłuższym odpoczynku i leczeniu zaczęłam pracować i powoli wracać do normalnego życia. To jednak nie było łatwe, gdy się wiedziało, że ogromna ilość Polaków dalej została w obozach w strasznych warunkach, jakie opisałam; na papierze wyglądają one dużo łagodniej, bo ani język ludzki, ani pióro nie jest w stanie opisać tego, co tam przeżywaliśmy, a inni nadal jeszcze przeżywają.

Dziś dziękuję Bogu, że jestem zdrowa i normalna, że mogę żyć jak wszyscy dokoła mnie, a nawet mogę się cieszyć życiem. Wydawało się, że po tych przeżyciach już nigdy nie potrafimy się śmiać, a jednak żyję pełnym życiem, a i uśmiech często rozjaśnia twarz. Już samo to jest CUDEM.

W roku 1945 odznaczona zostałam rozkazem Dowództwa AK w Londynie Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Medalem Wojska Polskiego, Krzyżem Armii Krajowej.

Wkrótce po wiecu w październiku 1956 r. z Gomułką - w dniu 30.05.1957 r. wyjechałam do narzeczonego - do Londynu; wyszłam za mąż i byłam tam do 4.10.1996 roku. W rok po śmierci męża wróciłam do kraju.

Przez długie lata byłam w Zarządzie Koła AK Londyn oraz w Zarządzie Funduszu Inwalidów, którego celem była pomoc akowcom w kraju. Jak się okazało wielu Polaków w kraju i na emigracji nie znało prawdy o działaniach wkraczającej do stolicy Polski Armii Czerwonej.

Otóż ta - niosąca jakoby wolność Polakom - Armia zaczęła od prześladowań najlepszych synów i cór Polski - żołnierzy AK. Już od pierwszego dnia 17.01.1945r. nastąpiły aresztowania, tortury i zsyłka na Sybir. Te obce wojska Armii Radzieckiej ośmieliły się wywozić z serca Polski - jej stolicy - tysiące akowców w głąb Rosji. Na pewno było to wbrew prawu międzynarodowemu.

Wspomnienia swoje napisałam na polecenie gen. Bora Komorowskiego oraz płk Iranka Osmeckiego, bo według nich jest sporo dokumentacji o wywózce Polaków ze wschodnich terenów Polski, do których Rosja rościła sobie pretensje, natomiast brak jest danych o poczynaniach i okrucieństwach NKWD w stolicy - Warszawie i okolicach: Włochy, Ursus, Ożarów, Pruszków itp.

Jak dotychczas nikt z władz wolnej Polski nie zrobił nic, żeby żądać odszkodowań za tą potworną niesprawiedliwość - żyjącym jeszcze dziś żołnierzom AK, którzy przeszli przez piekło na tej nieludzkiej ziemi.

Wanda Szydzik

Wanda Szydzik - z domu Niska

Były ze mną łączniczki:

Mieczysława Hejnowa

Janina Młodzińska

Maria Jaźwińska

Zofia Kulesza

„Grażyna”

W 60 Rocznice Wkroczenia Armii Radzieckiej do Polski
17.9.99 Madame ni- «Книжкe niezwojszonym 936
pnez (Swiatow) «Служба Бюро Стowаружения
Былых Воинов Политичека

Wydrukowane: Rocznik Zarz. AK 1987

w Polsce luty 1992 „Tygodnik Solidarność”,

„Nadzieja”

listopad 1989

„Mies. Trzeźwymi Bądźcie”

Ze zbiorów archiwalnych
VII Obwodu A.K. „Obrona”

IV Korespondencja
(2002+) k.1



IV/1

MEMORIAL

General Marii Wittek

FUNDACJA
Archiwum Pomoczek Armii Krajowej
ul. W. Garbary 2, tel. 66-22-191
87-100 TORUŃ

Toruń 14 VI 2002 r.

l.dz.2571 WSK 2002

Pani Wanda Szydzik

ul.

Warszawa

Szanowna Pani,

Dział Wojennej Służby Kobiet naszego Archiwum zajmuje się gromadzeniem i opracowywaniem materiałów dotyczących kobiet-żołnierzy II wojny światowej. Za pośrednictwem ŚZZAK Okręg Warszawa, Środowisko „Obroza” otrzymaliśmy Pani przejmujące wspomnienia opisujące aresztowanie za przynależność do AK i zsyłkę na Ural. Na ich podstawie została założonateczka osobowa na Pani nazwisko o numerze inwentarza 3084/WSK. W związku z tym zwracam się do Pani z prośbą o opracowanie relacji z przebiegu Pani służby wojennej według załączonego schematu. Do relacji proszę dołączyć zdjęcie z lat 40-tych lub współczesne, a także wszelkie dokumenty lub ich kserokopie związane z Pani osobą (np. legitymacje odznaczeń, oświadczenia świadków, a także metryka urodzenia, świadectwa szkolne, świadectwo ślubu, świadectwa pracy itp.). Wszelkie materiały zgromadzone w teczce relatora służą jedynie badaniom naukowym i są udostępniane tylko naukowcom.

Zalącam serdeczne pozdrowienia i mam nadzieję, że zechce Pani z nami współpracować.

Z wyrazami szacunku

Dorota Kromp
Dorota Kromp

Dokumentalistka Archiwum WSK

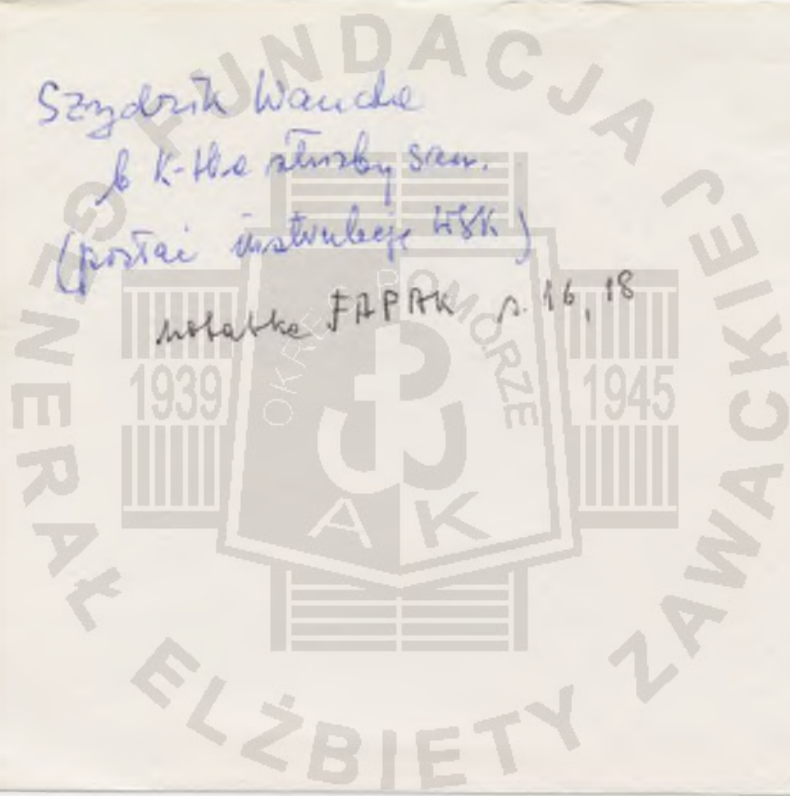
Zał.:

- 1) Schemat relacji WSK.
- 2) Ulotka informacyjna o FAPAK.
- 3) Ulotka informacyjna o Memoriale General Marii Wittek.
- 4) Ulotka wydawnicza.

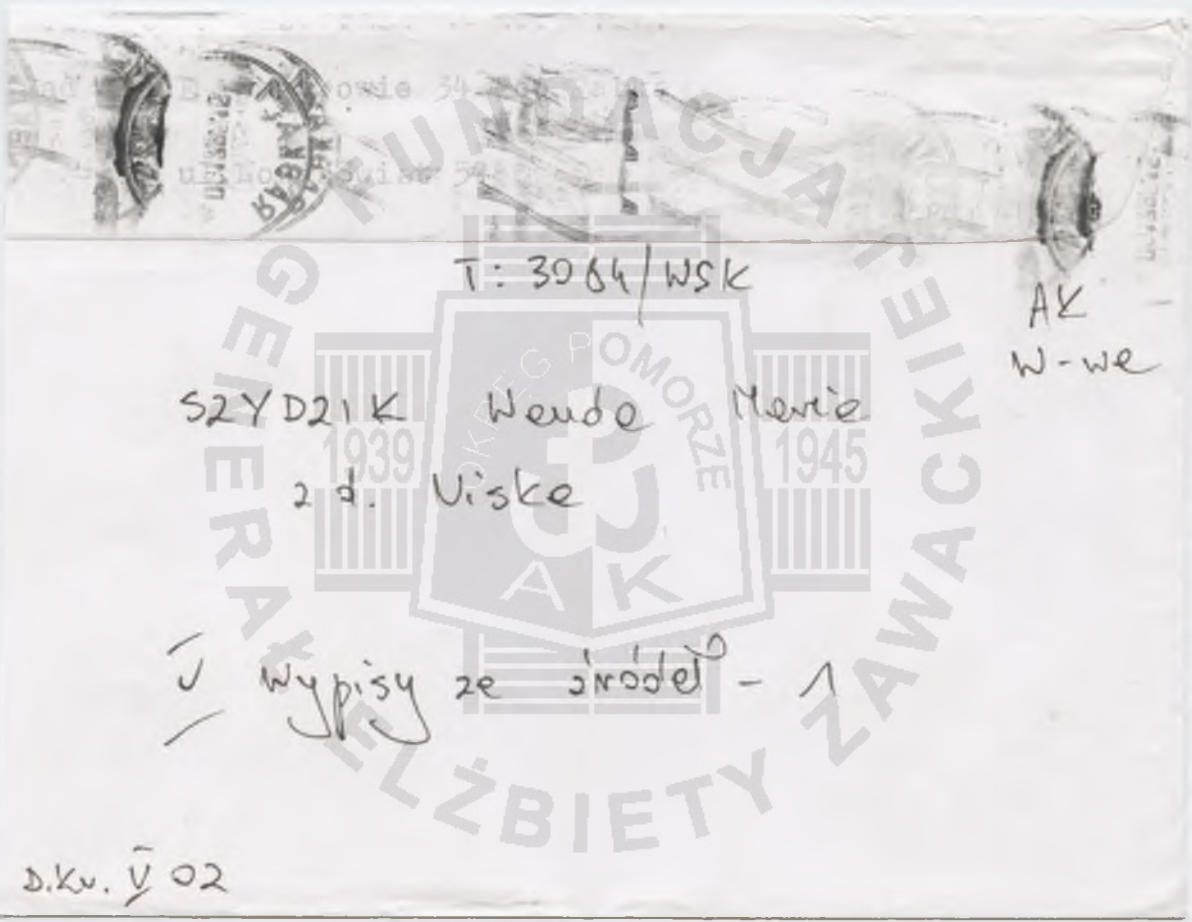
pięwszy list

Szydorik Waude
ul. K-the strosby stow.
(portai instrukcje HSK)

W SU
Hockey



notatki FAFAK s. 16, 18



T. 3084/Wsk

AK
W-wa
VII Ob.

SZYDZIK Wanda Maria
z d. Nioka

VI Fotografie k. 1



VI/11



T3084

Szydzik Wanda z d. Niska ps. "Czuwajka" "Nina"
1916 - 2004

7 Rejon "Jaworzyn" VII Obwód AK "Obroza" - referentka służb sanitarnych WSK w Rejonie. Uczestniczka Powstania Warszawskiego, aresztowana w 1945r. przez NKWD i wywieziona na Ural wróciła w styczniu 1946r. Krzyż AK, Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami Krzyż Niezlomnych, Honorowa Odznaka Sybiraka.

SZYDZIK Wanda Maria

